

Ewa Zeller. Obrazy natury.



Ewa Zeller

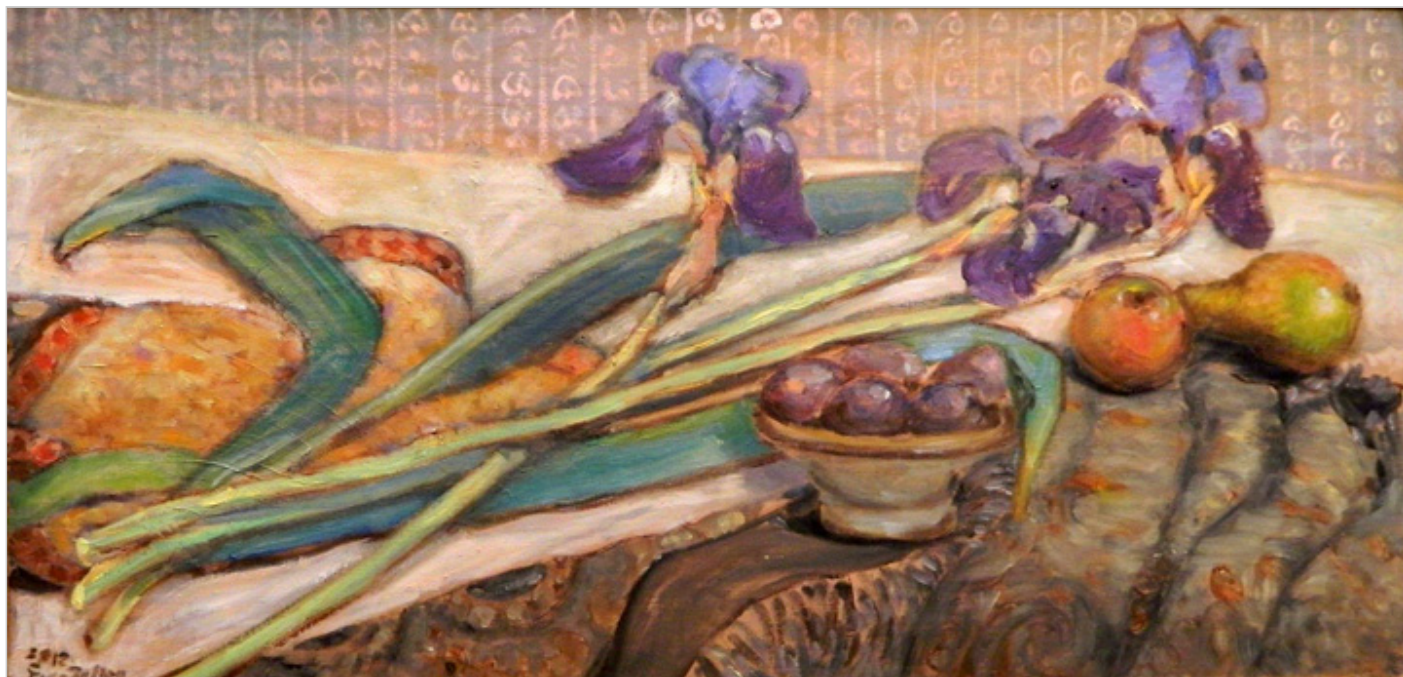
Ewa Zeller mieszkająca obecnie w Trenton w New Jersey, urodziła się w Polsce. W 1998 r. uzyskała magisterium na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu w zakresie konserwatorstwa i ochrony dóbr kultury. W 2000 r. ukończyła studia podyplomowe na Wydziale

Architektury Politechniki Warszawskiej w zakresie ochrony krajobrazu kulturowego, a jej praca dyplomowa została nagrodzona i opublikowana przez Konserwatora Generalnego w Warszawie. W latach 1987-2003 pracowała w państwowych służbach ochrony zabytków w Białymstoku, opracowując katalogi zabytków sztuki województwa białostockiego, wytyczne konserwatorskie oraz opiniując projekty renowacji zabytków.

Od 2003 r. przebywa na stałe w USA, zajmując się malarstwem artystycznym.

Uczyła się malarstwa olejnego u Aleksandry Nowak, Gregory'ego Perkela, Louisa Rosseumano, a także na uczelniach artystycznych: PRATT Institute na Brooklynie, Arts Council of Princeton, School of Visual Arts na Chelsea, Pennsylvania Academy of Fine Art w Filadelfii (PAFA).

Pracuje w oleju, akrylu, pastelu i watercolor. Po raz pierwszy swoje prace pokazała w New Jersey, następnie w Pensylwanii, Connecticut i w Nowym Jorku. Jej prace znajdują się w licznych prywatnych kolekcjach na terenie Stanów Zjednoczonych, a także w Fundacji Jana Pawła II w Rzymie, w Trenton City Museum czy w Princeton Academy of Sacred Heart.



Ewa Zeller, *Irisy na stole*, olej na papierze.

Indywidualne wystawy:

2006 i 2012 Druch Studio Gallery w Trenton (NJ),

2012 Skulski Art Gallery w Clark (NJ) oraz tamże dwuosobowa wystawa z Magdaleną Zawadzką w 2015 r.,

2009 PII Gallery (Margaret Berczyńskiej) w Filadelfii,

2013 Starbucks na Greenpoincie (NY),

2014 czterech twórców w PII Gallery w Filadelfii,

2014 czterech twórców w Galerii Kurier Plus: Kasia Iwaniec,

Anna Bis, Halina Nawrot, Ewa Zeller,

2014 Mała Polska w Trenton wraz z rzeźbiarzem Jerzym Chojnowskim,

2015 Brooklyn Public Library na Greenpoincie,

2016 Klimat Longue na Manhattanie,

2016 Passeterie Charlotte na Greenpoincie,

2016 wystawa czterech twórców w ramach Polskiego Festiwalu Kultury Polskiej przy parafii Sw. Krzyża na Maspeth w NY: Anna i Antoni Szoska, Wiktor Tur, Ewa Zeller,

2016 Galeria Kurier Plus na Greenpoincie, Festival Dumbo na Brooklynie w Nowym Yorku.

Ponadto uczestniczyła w ponad 100 wystawach grupowych na terenie w/w stanów.

Jej prace przedstawiające kompozycje kwiatowe były częścią scenografii do sztuki "Cheaper by the Dozen" w Newtown Theatre (PA), najstarszym teatrze w Pennsylvanii (kwiecień 2013).

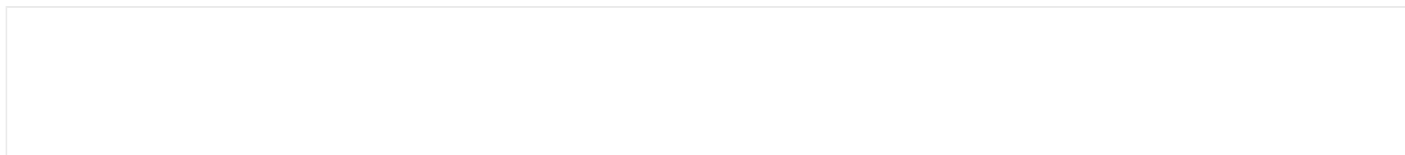


Ewa Zeller, Meadow (Łąka), olej
na płótnie, 20×16

Uzyskała liczne nagrody na wystawach konkursowych w wielu renomowanych galeriach, w tym Best in Show w konkursowej wystawie Artists Of Yardley w Yardley (PA) w 2015 r., kilka nagród i wyróżnień w Doyestown (PA) – Polish Heritage Society of Philadelphia, podobnie w konkursowych dorocznych wystawach Mercer County Artists w Mercer County Community College w Trenton, Trenton Museum Society w Ellarslie w Trenton (NJ). Jej prace wystawiała Segal Gallery przy

Uniwersytecie w Montclair (NJ), Ridgewood Institute of Arts w Ridgewood (NJ), Farnsworth Gallery w Bordentown (NJ), TAWA Trenton Artists Workshop Association (NJ). Uczestniczy stale w wystawach grupowych the Sketch Club w Filadelfii, Artsbridge w New Hope (PA), New Hope Art League. W 2017 roku Trenton City Museum poprosiło malarkę o udział w wystawie zbiorowej amerykańskich współczesnych artystów, organizowanej w salach muzeum, zatytułowanej "On this Walls".

Ewa Zeller maluje w naturalistycznym stylu, opierając się na kolorze i formie jako głównych nośnikach przekazu, dążąc do uzyskania efektu dekoracyjnego, symbolicznego i syntetyzując wybrane idee. Obok scen symbolicznych preferuje portret, sceny kwiatowe, *still life*, pejzaże.



Galeria prac Ewy Zeller



Nasturcje, olej na płótnie



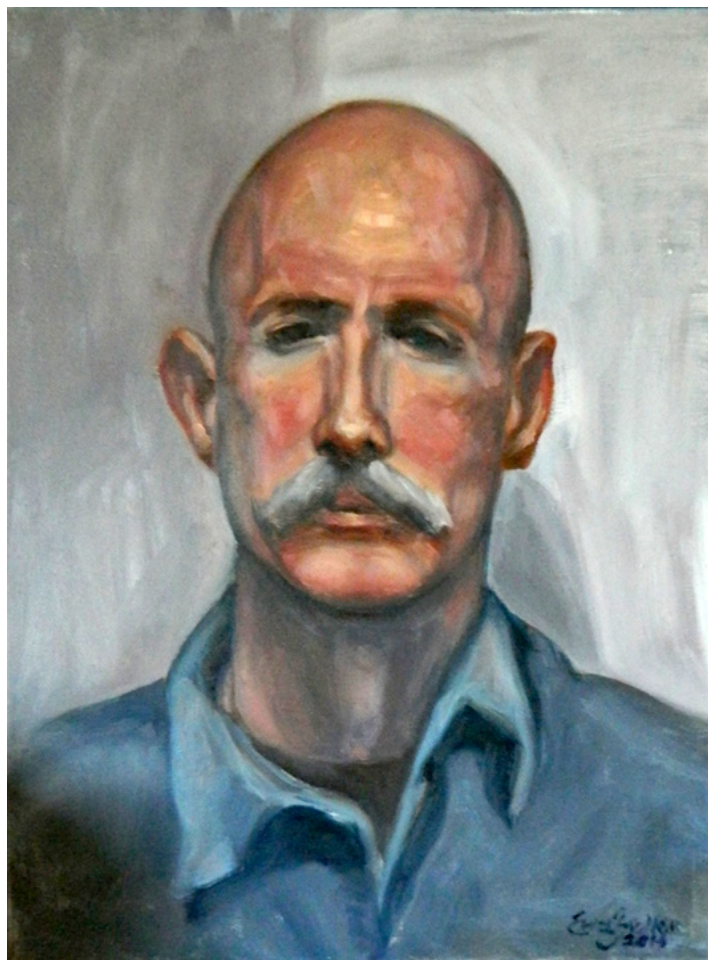
Mystic Mums, olej na płótnie



Jurowce, olej na papierze



Aleksandra, olej na płótnie, 24×18



Model, olej na płótnie, 14×11



Robotnik, olej na płótnie, 14×11



Halina, olej na płótnie



Still Life with copper, olej na płótnie, 11×14



Old Farm, olej na płótnie, 8×10



Nature, olej na płótnie, 9×16

Bibliograf prasy

emigracyjnej. Jan Kowalik (1910-2001).



Jan Kowalik z żoną, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

W Kalifornii 12 lutego 2001 roku zmarł po długiej chorobie Jan Kowalik czyli Jan Sławiczek ze Skoczowa. Pamiętam moje pierwsze spotkanie w San José, dokąd pojechałem chcąc poznać wspaniałego ziomka, człowieka-instytucję, mającego ogromne zasługi dla kultury polskiej, a zwłaszcza dla bibliografii czasopism.

Kowalik urodził się w Skoczowie w 1910 roku, kształcił się w seminarium nauczycielskim, został nauczycielem i debiutował w prasie przed wojną. O historii swej edukacji napisał tak:

W zasadzie, od dziecka począwszy, uprawiam samokształcenie. Formalnie ukończyłem Seminarium Nauczycielskie w Bielsku-Białej oraz jako eksternista Państwowy Kurs Nauczycielski w Mysłowicach i Krakowie. Na kilka lat przed wojną imatrykulowałem się jako student zaoczny na Jagiellonce w Krakowie (Historia u Dąbrowskiego, i Psychologia u Heinricha) dojeżdżając z Mikołowa do Krakowa pociągami kilka razy w tygodniu, ale zabawa skończyła się gruźlicą, i musiałem przerwać studia, nie kończąc niczego. Mogłem edukację formalną dokończyć kiedyś po wojnie, ale zająłem się dokumentacją z nakazu zapotrzebowania społecznego, i rezygnując z zaszczytnych

tytułów naukowych. Uczę się jednak dalej...

Po wojnie Amerykanie oswobodzili go z niemieckiego obozu pracy. Najpierw był pacjentem sanatorium dla chorych na gruźlicę a następnie jego administratorem. Potem został komendantem obozu dla uchodźców. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych w 1950 roku, a dwa lata później osiadł w Kalifornii.

Jeszcze w Niemczech założył tygodnik „Polak w Waldeck” i współpracował z „Ostatnimi Wiadomościami”, „Słowem Katolickim” i „Kroniką”. Wydał zbiorki wierszy „Ścieżka przez Steinatal” (Monachium 1947) i „Wiatr w gałęziach” (Monachium 1948). W tym też czasie zainteresował się bibliografią, tak że do USA wiozł już bogate archiwum.

Jego życie było pełne utrapień, ustawicznie musiał baczyć na stan zdrowia. W liście z roku 1959 wspomina kurację sercową przeprowadzoną w Niemczech, kilka lat później, w 1963 skarży się, że ma:

[...] dużo pracy, ciągle chorowanie, a ostatnio przeprowadzenie się do nowego miejsca zamieszkania, czyli przenoszenie kilku tysięcy książek i roczników prasy mego „Polish Emigré Press Archive”, budowanie na nowo półek

bibliotecznych, katalogowanie, oprawianie, itd. itd., co przy moim stanie zdrowia było wyczynem omalże Herkulesowym.

Borykając się ponadto przez cały czas z kłopotami finansowymi poświęcił długie życie dokumentacji historyczno-bibliograficznej Polaków rozproszonych po świecie. Dziesięciolecia wytrwałej pracy zaowocowały szeregiem publikacji bibliograficznych z sześciotomową bibliografią czasopism polskich wydanych poza granicami Polski od września 1939 roku na czele. Cenzura PRL-u szczególnie długo przetrzymała piąty tom. Skarżył się Kowalik w jednym z listów:

[...] piąty tom mojej bibliografii prasy leży w KULu, to znaczy u wydawcy od przeszło roku, i cenzura odkryła nagle, że ta biedna najsuchsza ze suchych książek, szkodzi politycznie Polsce Ludowej i stawiają coraz to nowe żądania odnośnie zmian tekstu.

Dziś to monumentalne dzieło dokonane przez jednego człowieka, a wydane przez Katolicki Uniwersytet Lubelski w latach 1976-88 stanowi zasadniczy fundament naszej wiedzy o przedmiocie. Ciężka choroba Kowalika utrudniała mu ukończenie szóstego tomu, a tysiące pozycji bibliografii polskiej diaspory czekało na opracowanie. *Bibliografia to bardzo niebezpieczne zajęcie, bo jak*

się raz zacznie, to później bardzo trudno skończyć, zwierzył się kiedyś.

Już w Stanach Zjednoczonych Kowalik pełnił funkcje redaktora pism „Polak w Kalifornii” i „Migrant Echo”. Publikował m.in. w paryskiej „Kulturze” i torontońskim „Związkowcu”. Otrzymał nagrody Alfreda Jurzykowskiego (1968) i Anny Godlewskiej (1973). Kontynuował również zamiłowania literackie wydając wiersze „U drzwi Twoich” (Paryż 1985), a w Albany, USA, „Exsul familia” (1983), „Zatrzymać czas” (1987), „Zapis w kalendarzu” (1989) oraz prozę „Krzyż Malika” (1985). Jako czwarta pozycja lublińskiego „Akcentu” wyszły jego „Wiersze wybrane”. To duża satysfakcja doczekać wydania wierszy w Polsce, tam gdzie znajduje się właściwy czytelnik,. Bo każdy emigrant, który nie z własnej woli znalazł się na obczyźnie, pragnie dotrzeć do odbiorcy w rodzinnym kraju.

Poezje Kowalika mówią przede wszystkim o tęsknocie do swoich stron i drogich osób. Są proste, ciepłe, ludzkie. Nie potrzebują reklamy, nie epatują techniką. Skromne i szczere doskonale oddają niełatwe zgodzenie się na poniewierkę, na sytuację bezprzydziałowego tułacza, któremu „wycieka z żył/ nadzieja”. Poeta hołubi romantyczne wartości bez żenady, szuka w końcu ojczyzny uniwersalnej, przejścia „przez inne drzwi”:

do Polski tej wiekuistej

jasność oglądać Bożą

Na początku tej drogi były inne momenty. Jedną z ciężkich rozterek utrwalił wiersz „Korespondencja”. Twarda konieczność czasów zimnej wojny sprawiła, że słowa kochanej osoby „stamtąd”, które najpierw brzmiały – „Kocham...czekam...Kiedy” z czasem zamieniły się w „Pamiętam, nie czekam, rozumiem”.

Wydawać by się mogło, że znalazłszy się w Kalifornii emigrant nie będzie już niczego potrzebował. Ta pożądana przez tak wielu ludzi ziemia, owszem, objawia się Kowalikowi w całej swej krasie, ale on tym niemniej wzdycha:

Żeby tak jeszcze

kilka taktów skowronka

W innym utworze napisze:

Tylko z oczyma źle:

patrzysz na Santa Cruz mountains

a widzisz

Beskid

Przetrwać w obcym krajobrazie i wśród innych ludzi pozwala łatwiej nowy dom odpowiednio przystosowany i oswojony.

Pisze poeta:

Ogrodzę cię kołem grzybów

Psem legnę na wspomnieniach.

Polskę tu swoją założę!

Nieustająca miłość do Polski, ten przysłowiowy już i może mało przez nowe pokolenia zrozumiały patriotyzm ludzi urodzonych między wojnami, nie jest ślepy. Poeta zdaje sobie sprawę ze złych cech swoich rodaków mówiąc „Ojczyzno, czas ci się zmienić”. Dumny jest z tego, że w życiu nie szukał majątku, nie biegł tam, gdzie jest dostaniej. Bo „choć rozkazy

przebrzmiały,/sztandar nam oczy przesłania/ nadzieja rozumy”.
Pociesza się, że

Legenda nas kiedyś uskrzydli.

Tymczasem -

Jak każdy pomnik -

Truje nas grynszpan niezgody,

Rdzawi nas czas...

Także tę wolność

Psiakrew!!

Naszą i waszą.

Gorzkie słowa, które, niestety, nie tylko na emigrację, ale na całą polską rzeczywistość rozciągnąć można. Myślę, że tak już inni, młodszy poeci poza krajem tęsknić nie będą.

Redaktor torontońskiego półtygodnika Benedykt Heydenkorn nazwał Kowalika „świeckim patronem prasy emigracyjnej”.

Pamiętam apele Kowalika drukowane w emigracyjnych pismach o zachowanie „starych papierzyk”:

...nie bądźcie bez serca dla tych pożółkłych biuletynów obozowych, nadgryzionych gazetek polowych i zleżałych płacht polonijnych tygodników. Taż to część Ojczyzny, która za Wami szła, i z Wami zostaje. Nie telefonujcie zaraz po śmieciarza. Pomyślcie, że „Polska to wielki zbiorowy obowiązek”, w którego spełnieniu możecie właśnie dopomóc.

Odszedł jeszcze jeden z wielkich zasłużonych emigracji niepodległościowej do końca swojej ziemi wierny.

Z Krakowa do Toronto

czyli teatr dla emigranta



Scenografia Joanny Dąbrowskiej do sztuki Kazimierza Brauna
„Promieniowanie” o Marii Skłodowskiej-Curie, fot. Yarek
Dąbrowski.

Izabela Joanna Barry (USA)

Z jakiegoś powodu, którego wyjaśniać tu nie ma potrzeby, przeciętny Polak w Polsce nie ma zbyt wysokiego mniemania o rodaku, który kiedyś podjął wyzwanie losu, opuścił swoją ojczyznę i wyruszył na podbój nowego świata. Najczęściej – o ile w ogóle o nim mówi – nazywa go, dość protekcyjnie, by nie rzec – pogardliwie – Polonusem. Życie owego „Polonusa” także nie jest przedmiotem specjalnego zainteresowania, chyba że chodzi o coraz częstsze głosy domagające się odebrania Polakom mieszkającym za granicą prawa głosowania w wyborach. Ta, dość marna trzeba powiedzieć opinia, niestety, nie ulega zmianie, nie wyprostowuje się i – co więcej – nie oddaje sprawiedliwości ogromnej rzeszy polskich emigrantów; nie zauważa i nie docenia pracy, wytrwałości i talentów, z których emigranci – pokonując trudności nieznane i często trudne do wyobrażenia – potrafili zrobić użytek daleko od swojego kraju.

Dlatego niezwykle dobrze się stało, że powstała książka, która nie tylko broni dobrego imienia polskiego emigranta, ale także opisuje szczegółowo pewien fenomen, którego rola i wartość są nie do przeceniania: Salon Poezji, Muzyki i Teatru w Toronto, czyli teatr stworzony, zbudowany od zera przez Marię Nowotarską, aktorkę Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie.

Joanna Sokołowska Gwizdka, autorka książki *Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny* przekazuje

czytelnikowi historię niezwykłą – historię pasji, wytrwałości, samozaparcia, a także jakiegoś niezwykłego zbiegu okoliczności, który także pozwolił na to, by szaleńczy pomysł Nowotarskiej zmienił się w rzeczywistość. Bo doprawdy, los musiał jej sprzyjać, skoro w obcym dla niej mieście, kraju nagle znalazło się tak wielu ludzi skłonnych przyłożyć się do niezwykłego sukcesu Salonu.

Ale od początku... Historia powstania tego teatru brzmi zaskakująco: młoda aktorka, Agata Pilitowska, postanawia opuścić Polskę i wyjechać do Kanady. Ma trójkę małych dzieci, a jej życie składa się nie tylko z zabiegania o dobre role i grania na scenie i w filmie, czyli robienia tego, do czego przygotowała ją szkoła, ale także, a może przede wszystkim, z walki o kawałek sera, mięsa czy czekolady. Zmęczona beznadziejną sytuacją Agata podejmuje decyzję wyjazdu – tak daleko jak tylko można – do Kanady. Nie jest pierwsza – w tym czasie, w latach 80. XX w. Polskę opuściło kilkaset tysięcy ludzi. Nie wiemy, czy Agata zdawała sobie w tym momencie sprawę z tego, że zapewne będzie musiała zrezygnować z zawodu, nauczyć się czegoś nowego i diametralnie zmienić swoje życie. Tak czy inaczej, opuściła Polskę i znalazła się najpierw w Montrealu, by wkrótce przenieść się do Toronto. Tymczasem w Polsce zostali rodzice – Maria Nowotarska, świetna krakowska aktorka i jej mąż, Jerzy Pilitowski, architekt. Bardzo szybko tęsknota za córką i wnukami skłania ich do wizyty w Kanadzie. Wkrótce podejmują decyzję

pozostania w Kanadzie na stałe. Decyzja ta, z jednej strony fantastyczna, bo podyktowana najpiękniejszymi uczuciami – miłością, tęsknotą i troską, z drugiej może wydawać się zupełnie niezrozumiała. Oznaczała bowiem zmianę całego życia, rezygnację – najpewniej – z zawodu, z kariery, porzucenie środowiska, przyjaciół, domu. A jednak.

Pierwszy rok pobytu Marii i Jerzego w Toronto to przyzwyczajanie się do nowych warunków, ale przede wszystkim pomoc zapracowanej Agacie. Ale przecież w jakiejś chwili pojawia się potrzeba minimalnego choćby powrotu do dawnych zajęć. Maria Nowotarska wspomina, że na jakimś przyjęciu towarzyskim powiedziała wiersz Tetmajera „Jak Janosik tańczył z cesarzową”. Goście nie dość, że słuchali w milczeniu to jeszcze zareagowali z entuzjazmem i poprosili o więcej. Tu właśnie zaczyna się historia tego niezwykłego teatru, opartego na pomysłe Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego, teatru bez ścian, bez własnego miejsca, teatru ubogiego, samowystarczalnego, posiłkującego się talentami i pracą często przypadkowych ludzi, którzy nigdy przedtem z teatrem nie byli związani i – rzecz jasna – czerpiącego z polskiej tradycji teatralnej. Czytelnik znajdzie tu fascynujący, żywy zapis działalności 22 lat sceny torontońskiej.

Joanna Sokołowska-Gwizdka postanowiła skonstruować swoją książkę nie tyle chronologicznie, ile tematycznie. Zbierając

materiały uporządkowała działalność Salonu Poezji, Muzyki i Teatru według rodzaju artystycznych przedsięwzięć dzieląc wszystkie zrealizowane projekty na kilka działów – przedstawienia poetyckie, muzyczne, historyczne, kabaretowe. Nie mogło zabraknąć rozdziału poświęconego wystawianym przez Salon sztukom Kazimierza Brauna, a poświęconym kobietom. Emigrantki – Modrzejewska, Łempicka, Maria Curie, Pola Negri stały się tematem dramatów napisanych specjalnie dla Marii Nowotarskiej i Agaty Pilitowskiej, która po początkowym okresie sceptycznego podejścia do pomysłu matki, zaangażowała się w tę teatralną pracę bez reszty. Ważną sztuką był tu także *American Dream*, którego bohaterkami są dwie aktorki, matka i córka, emigrantki, które próbują wrócić do zawodu. Tę sztukę reżyserował sam autor, Kazimierz Braun, ongiś dyrektor wrocławskiego Teatru Współczesnego, wyrzucony z pracy w 1984 roku po wystawieniu *Dżumy* według Alberta Camusa. Braun znalazł się w połowie lat 80. w Buffalo, gdzie podjął pracę na miejscowym uniwersytecie.



śpiewaczka.

Wracając do książki - zadziwia i budzi szacunek skrupulatność autorki. Joanna Sokołowska wykonała mrówczą pracę gromadząc i porządkując fakty, przeprowadzając wielogodzinne rozmowy z bohaterami tej książki. Są to przede wszystkim rozmowy z Marią Nowotarską, przeprowadzane w Toronto, ale także w New Jersey, gdzie po jakimś czasie przeniosła się autorka. Ale też są to wielogodzinne rozmowy z dziesiątkami osób, które wiązały się z torontońską sceną bądź na chwilę - jak gościnnie występujący aktorzy z Polski (Krzysztof Kolberger, Jerzy Zelnik, Andrzej Grabowski) bądź na dłużej - jak na przykład Kinga Mitrowska - urodzona, wychowana i wykształcona w Kanadzie

Owa skrupulatność autorki może na początku budzić obawy, czy książka nie będzie zbyt drobiazgowo opowiadała historii teatru i czy w związku z tym nie okaże się nużąca dla kogoś spoza

środowiska czy też dla teatralnego laika. Nic bardziej mylnego. Sokołowska w bardzo przemyślany sposób przeplata fakty z rozmowami już to z główną bohaterką książki – Marią Nowotarską, już to z Agatą Pilitowską, już to z innymi osobami, które przez teatr się przewinęły. Uzupełnia swoją relację listami, choćby Kazimierza Brauna, zapiskami dziennika nieżyjącego już Jerzego Pilitowskiego, recenzjami z prasy, wreszcie własnymi refleksjami, bo przecież sama brała udział w Salonie, najpierw jako sceptyczny widz, potem już jako wierna przyjaciółka teatru i recenzentka, a także współautorka jednej z wystawianych sztuk.

I tu należy wspomnieć o jeszcze jednej warstwie *Teatru spełnionych nadziei*: to książka niesłychanie osobista, zarówno jeśli chodzi o bohaterkę, Marię Nowotarską i jej rodzinę, jak też i o samą autorkę – Joannę Sokołowską. Wspomnienia nie ograniczają się jedynie do pracy, kolejnych premier i sukcesów, ale w naturalny sposób mówią także o kłopotach rodzinnych, problemach finansowych, chorobach, zmęczeniu – jednym słowem o życiu tej teatralnej rodziny, która w Toronto powiększyła się o aktorów, scenografów, muzyków, projektantów kostiumów, artystów grafików itd., itd. Nie ma wątpliwości, że specyficzny ton autorki, ciepła emocjonalna narracja nadaje książce dodatkowej wartości – czyni ją jeszcze ciekawszą i wciągającą.

Sokołowska nie zaniedbała żadnego szczegółu – wiemy, gdzie

odbywały się próby, w jakich okolicznościach spotykali się aktorzy i autorzy, kto projektował kostiumy, kto je szył, ile było rocznie premier, jakie inne działania, oprócz teatralnych podejmowano, ile podróży odbyły Nowotarska i Pilitowska, w jakich miastach świata je oklaskiwano, kto im pomagał i jaką rolę odegrała trójka wnucząt, które przez te wszystkie lata dorosły. Dostajemy pełny obraz unikatowego przedsięwzięcia, które powstało z pasji i miłości do słowa, do literatury polskiej i do tradycji polskiego teatru. Ale dostajemy także ciekawą i zapewne dla niektórych zaskakującą relację z życia emigracji polskiej. Emigracji, która postarała się o to, by jej życie nie było pozbawione polskiego teatru, która potrafiła skutecznie zadbać o swoje życie kulturalne i o to, by miało ono profesjonalny wymiar i stało na najwyższym poziomie.

I na koniec nie można nie wspomnieć o znakomicie przygotowanym opracowaniu źródeł, przypisów, szczegółowej bibliografii. *Teatr spełnionych nadziei* to niezwykle wartościowa pozycja i znakomity przyczynek do historii polskiego teatru.

Recenzja ukazała się w „Pamiętniku Literackim” , Tom LIII, wydawanym przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, czerwiec 2017 r., Londyn.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny. Novae Res, 2016.





Joanna Sokołowska-Gwizdka podpisuje książkę na Targach Książki w Warszawie, maj 2017 r.

Sztuka – język bez słów

**Rozmowa z Barbarą Maryańską, malarką, kuratorką
wystaw.**



Barbara Maryańska

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Studiowała Pani w Warszawie, Gdańsku i Paryżu, ma Pani na swoim koncie niezliczoną ilość wystaw indywidualnych i zbiorowych na całym świecie, pani

obrazy znajdują się w stałych kolekcjach muzealnych, m.in. Uniwersytetu Harvarda czy Muzeum Narodowego w Gdańsku, a także w prywatnych zbiorach od Ameryki, przez Europę po Japonię. Czy są miejsca szczególnie pani bliskie pod względem artystycznym?

Barbara Maryńska: Dużo podróżuję, bo taka jest natura mojej pracy, no i oczywiście mam wielką ciekawość świata. Wszystkie moje wrażenia, odczucia i obserwacje przetwarzam na motywy malarskie, nad którymi pracuję po powrocie w moim studiu, przywożąc masę szkiców i zdjęć. Na ogół musi upłynąć trochę czasu, aby takie przetworzenia mogły się narodzić. Wszystko musi niejako „przejsć przeze mnie” zanim podejmę się pracy nad nowym płótnem. Są takie miejsca, które mnie inspirują do malarstwa oraz takie, w których moje obrazy są dobrze odbierane. Spotkania z miłośnikami sztuki są dla mnie bardzo ważne. Lubie słuchać, co ludzie mówią o moich obrazach, jak je odczuwają. Uwielbiam odwiedzać piękne miejsca na świecie i spotykać ciekawych ludzi. Lubie Sedonę w Arizonie za jej niepowtarzalne czerwone skały, Jaipur w Indiach za jego miedziany koloryt pięknej architektury, Kocham Sarasotę na Florydzie za jej szmaragdową Zatokę Meksykańską i cudowny zapach kwiatów, Hudson Valley za piękne góry i rzekę, które są ze sobą nierozzerwalnie połączone. Kocham Kraków i jego atmosferę, zmuszającą wręcz do bycia artystą, Kocham też odwiedzać moją Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie i w

Gdańsku i cieszyć się energią twórczą młodych ludzi. Jestem zauroczona pięknem Strasburga, gdzie miałam w zeszłym roku wystawę indywidualną w Galerii Rady Zjednoczonej Europy, i jego wspaniałą katedrą inspirującą do głębokich rozmyślań.

JSG: Czego poszukuje pani w sztuce i co chce pani przez nią wyrazić?

BM: Moim głównym przekazem jest potrzeba ochrony piękna. Piękna przyrody, uczuć, piękna ludzi i miejsc. Spokój jest piękny. Ciągłe go pragniemy. Moje malarstwo dostarcza więc spokoju, którego ludzie poszukują. Moim przekazem jest również medytacja. W medytacji można odnaleźć równowagę i zadowolenie. Unikam niepokoju i dramatu, którego życie dostarcza nam w nadmiarze. Maluję swój świat, który stwarzam w życiu i w sztuce.

JSG: Czym dla pani jest rola kuratorki wystaw?

BM: Ta praca daje mi nieodpartą radość i satysfakcję z promowania dobrej – według mnie – i ciekawej sztuki, na którą chciałabym, żeby ludzie zwrócili uwagę. Lubię odkrywać nowe talenty, lubię konfrontować sztukę artystów z różnych środowisk twórczych i kultur. Wystawa to jest oddzielna, nowa kompozycja złożona z wielu dzieł sztuki. Ciekawe są dla mnie zestawienia różnych mediów i stylów. Sztuka żyje tylko wtedy, kiedy się ją

ogląda. Jeśli np. jakiś zdolny malarz trzyma swoje obrazy za szafą, to one nie żyją, nie istnieją, bo nikt ich nie widzi.

JSG: Jaka jest specyfika środowiska artystycznego w Nowym Jorku?

BM: Są to bardzo różne środowiska. Wielokulturowość rodzi wielowymiarowość i wielorakość. Dlatego stwarzam możliwość spotkań różnych kultur z różnych krajów m.in. w galerii New Century Artists Gallery w Nowym Jorku.

JSG: Dlaczego wraz z mężem, poetą Markiem Bieńkowskim zdecydowali się państwo na emigrację?

BM: Jesteśmy emigracją stanu wojennego w Polsce. Wybraliśmy Nowy Jork i Nowy Jork wybrał nas. Ja otrzymałam stypendium Fundacji Kościuszkowskiej zaraz po przyjeździe i tak już zostało... Przez długie lata mieszkaliśmy w Nowym Jorku, ale prawdziwą inspiracją dla moich obrazów stała się dopiero Hudson Valley. Tutaj też znalazłam swoje miejsce w kontynuacji malarstwa Hudson River School of Art w czysto osobistej i współczesnej formie, którą nazywam krajobrazem abstrakcyjnym.

JSG: Jakie w USA były początki pani pracy w zawodzie?

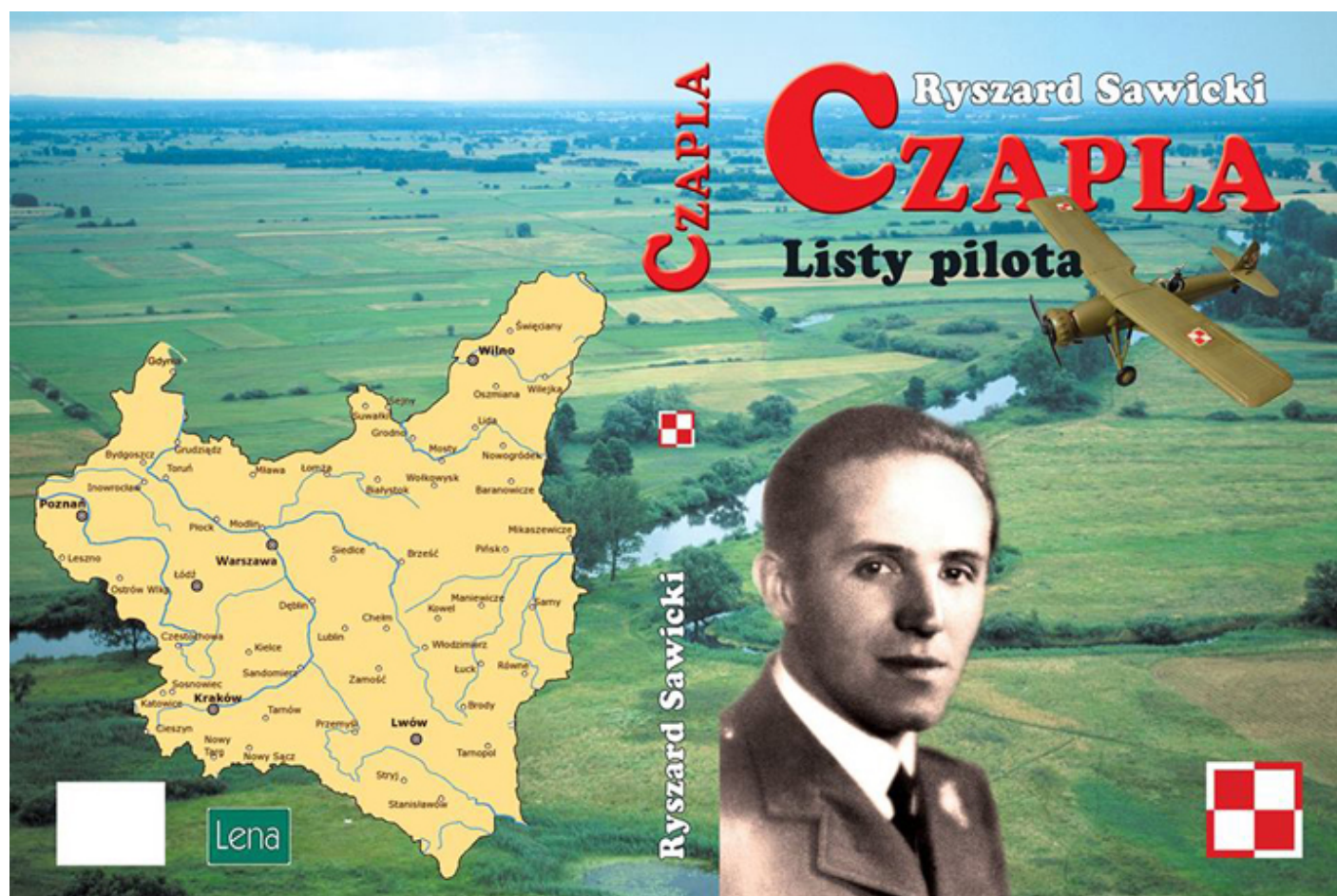
BM: Na początku współpracowałam z nieżyjącą już, znaną artystką Michelle Lester, która miała studio na 17 St. przy Union Square. Związałam się też wtedy z grupą Polish American Artists Society i wystawiałam z tą grupą w Nowym Jorku i na Long Island. Współpracowałam także z kilkoma galeriami na East Village. W tym czasie wychowywaliśmy syna, który dziś jest inżynierem programistą w Silicon Valley. Wystawiałam i organizowałam wystawy w Tivoli, NY, Catskill, Hudson, Athens i Albany, NY. W Beacon, NY zorganizowałam międzynarodową i ogólnoamerykańską wystawę sztuki kobiet „The World of Artists” w Howland Cultural Center. Od kilku lat coraz więcej energii poświęcam na organizowanie wystaw w Nowym Jorku.

Więcej informacji o artystce: www.bashamaryanska.com

„Czapla. Listy pilota”

– najnowsza książka Ryszarda Sawickiego.

Ryszard Sawicki, „Czapla. Listy pilota”, wyd. Lena, 2017,
Wrocław, s. 355, info@wydawnictwo-lena.pl



Zbigniew Lubicz-Miszewski

Bohaterem książki jest p. por. Tadeusz Sawicki, który był obserwatorem w trzydziestej trzeciej eskadrze armii „Poznań”. Piątego września 1939 roku nie powrócił z lotu zwiadowczego w rejon Poddębic nad Wartą. Z pożogi wojennej ocalało około stu jego listów. Są to listy do rodziców, rodzeństwa i przyjaciół zamieszkałych we Lwowie. Szczególnie dużo listów zachowało się z okresu pobytu Tadeusza w szkole lotniczej w Dęblinie.

Tadeusz w listach nie tylko opisywał swoje życie, ale barwnie przedstawiał krajobrazy, wydarzenia i swoje lotnicze fascynacje. Na podstawie tych listów, przedwojennych notatek prasowych i wielu ocalałych zdjęć z archiwum rodzinnego, Ryszard Sawicki – bratanek Tadeusza – nakreślił jego sylwetkę – bystrego obserwatora oraz inteligentnego epistolografa, lotnika, zapalonego turysty, człowieka silnie związanego ze swoją rodziną, Polaka zakochanego w rodzinnym Lwowie. W 2016 roku, po 77 latach od tragicznych zdarzeń, archeolodzy znaleźli szczątki samolotu Tadeusza Sawickiego, a także jego ryngraf, który cudem przetrwał w ziemi – w miejscu upadku samolotu.

Ryszard Sawicki, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, ukończył bibliotekoznawstwo. W latach 1977-1994 mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych. Artysta, pisarz, nauczyciel akademicki, tłumacz, uczestnik wielu wystaw indywidualnych i

grupowych w Stanach Zjednoczonych, Europie i Azji.

„Czapla. Listy pilota”

– rozdziały

Rozdział pierwszy (lata 1929-1934)

Rowerem do Tarnopola. Przez most na Serecie do Czortkowa jedziemy w ulewnym deszczu. W Kopyczyńcach jest ładna panna. Dowiedziałem się z radia o locie Idzikowskiego i Kubali. Widziałem czapłę, a potem trzy inne lecące nad jeziorem. W środę jedziemy do Truskawca, w czwartek na Urycz. Kąpiel w Serecie. Połów pstrągów. Kajakiem po Dniestrze. Jesteśmy w Haliczu, a gdyby nie słońce, byłibyśmy w Niżniowie. Na nartach przez Muńcoł do Zwardonia, zjazd do Żywca. Praca w lesie. Związek Czterech Patałachów. Praca w tartaku.

Rozdział drugi (rok 1935)

Studia na Politechnice Lwowskiej. Służba w piechocie. Na pomiarze pod Magurką: widoczność nieograniczona aż po Śląsk i Kraków. Film „Bengali” w kinie „Lotnik”. Ze skoków bardzo dobry. Na nartach w Czarnohorze. Generał Zaruski. Bal w Warszawie: na sali balowej mnóstwo ładnych twarzy. Zamelduje się pan w Szkole Podchorążych w Dęblinie 3 stycznia 1936 roku najpóźniej o godzinie 8 rano.

Rozdział trzeci (rok 1936)

Druga eskadra. Kawaleria lądowa i powietrzna. Egzaminy na

Politechnice. Zostałem kierownikiem sekcji tenisowej. Wiśnia japońska kwitnie za oknem pokoju. Dostaliśmy ekwipunek lotniczy, zaczynają się loty. Ziemia podobna do mapy. Próbnny lot pasażerski z instruktorem. Maj - śpiewają słowiki. Fotografie ze szkoły. Pierwszy lot nad Wisłą. Pułk manewrowy koło Rembertowa. Forsowne marsze. Defilada w Warszawie. Nareszcie jesteśmy sobą - czyli lotnikami. Zaczynam kochać szkołę. Samodzielne loty. Zaufanie do samolotu. Zawody pływackie. Warunki na RWD. Imieniny: „Lataj wysoko i nigdy nie spadaj”. Święta w Wiszence.

Rozdział czwarty (rok 1937)

Patrzę z góry na świat. Pierwsze zdjęcia z lotu. Siostra na filmie o lotnikach, wzruszona - płacze. Wiślane mielizny, błyszcząca woda. Szyją nam nowe mundury. W komisji mundurowej. Lekcje tańca. Walki powietrzne. Kiedy będę dostawał wynagrodzenie - spłacę długi. Warszawskie muzea. Spacer po Warszawie. Kajakiem po Wiśle. Przyjeżdżam do Lwowa, wszystko opowiem w domu. Latałem do Sandomierza. RWD 13 - śliczna limuzyna. Biała czasza spadochronu. Licytacja w powietrzu. Z gitarą w pociągu. Przedstawienie na akademii w Warszawie. Napisałem słowa piosenki.

Rozdział piąty (rok 1938)

Piękna nieznajoma w pociągu do Warszawy. Z wędrówek po Tatrach. Kurs narciarski. Panna Asia: środowisko artystyczne

Warszawy. Zbiorowa pętla w powietrzu. Sok brzozowy z lasu. Loty na radio. Loty nad chmurami. Zaczynamy żyć w powietrzu. Ucałować kwiaty. Zorza. Szkoła ognia. Operetka we Lwowie. Czuję się w powietrzu doskonale. Odwiedzam chorych kolegów. Kłopoty z aparatem fotograficznym. Lot nad jezioro Świteź. Polesie zaczyna mnie fascynować. Noc wenecka. Śmierć przyjaciela. Latam na Karasiu. Egzaminy. Uroczystości promocyjne. Obejmuję regularną służbę w Poznaniu. Mieszkanie przy Śniadeckich, potem przy Reja. Coraz większy porządek.

Rozdział szósty (rok 1939)

Dolina Chochołowska. Zawody narciarskie w Zakopanem. Planuję wyjazd do Paryża. Teatry warszawskie. Kiedy zaczniemy budowę wielkiego lotnictwa? Spotkanie z czeskim emigrantem. Warta wygląda wspaniale. Poznałem dwie Amerykanki. Spotkanie w poznańskiej palmiarni. Na spacerach w mieście chodzę w nowym, szarym garniturze. W jesieni kupię nowy płaszcz. Kwitną drzewa morelowe. Zostałem sekretarzem zarządu kasyna. Nocne loty. Ćwiczyłem język francuski w konwersacji z córką attache rumuńskiego. Lwów daleko od frontu. Koledzy na manewrach. Ostatni list z 27 sierpnia: chodzimy po mieście, pożegnania w restauracjach między zakochanymi parami, zaproszenie dla brata. lotnika.

Ewa Kołacz. Fazy światła.



Ewa Kołacz, malarka i poetka z Kanady

John K. Grande

Adeptka sztuki lalkarskiej i poetka Ewa Kołacz (Eva Kolacz) maluje od 1981 roku. Sztukę wizualną artystki wyróżnia ciągłość emocjonalna malarskiego gestu, który bezpośrednio przekłada uczucia na język światła i barw. Jej malarstwo składa się z elementów, które się oddalają, by się zatrzymać i w rezonansie tworzyć przestrzeń podtrzymującą ciągłość ludzkich emocji. (...)

Każdy obraz Ewy Kołacz powstaje na przestrzeni czasu i choć zdaje się on istnieć w konkretnym miejscu, jest to jedynie świat malarski, gdzie każdy scenariusz inspirowany jest emocjami, malowany kolorem i tworzony przez światło. Jej malarstwo wyróżnia bezpośredniość interpretacji. Emocje stają się pejzażem, a wewnątrz ulega ciągłej transformacji. Obrazy te są odzwierciedleniem na potrzeby serca, a powierzchnia obrazu jest określeniem tożsamości zawierającej w sobie miejsca, atmosferę, zmiany i nieskończoność. To wszystko z godnym podziwu wyczuciem koloru. Nie jest łatwo stworzyć dramatyczne i jednocześnie skromne obrazy, aby mogły wyrazić wrażliwość natury ludzkiej. Obrazy istnieją na powierzchni, która staje się głębią światła, kształtującą formę. Są przypowieściami o ludzkim doświadczeniu. (...)

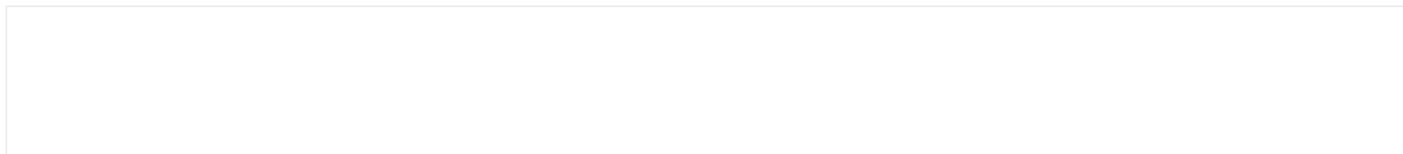
Rzut optyczny w obrazach może być wertykalny lub horyzontalny, podkreślany intensywnym rozproszeniem i

odbiciem, a niekiedy gęstością atmosfery. Każdy z obrazów posiada serię fraz wizualnych, gdzie gest nakłada się na kolejne warstwy obrazu. (...)

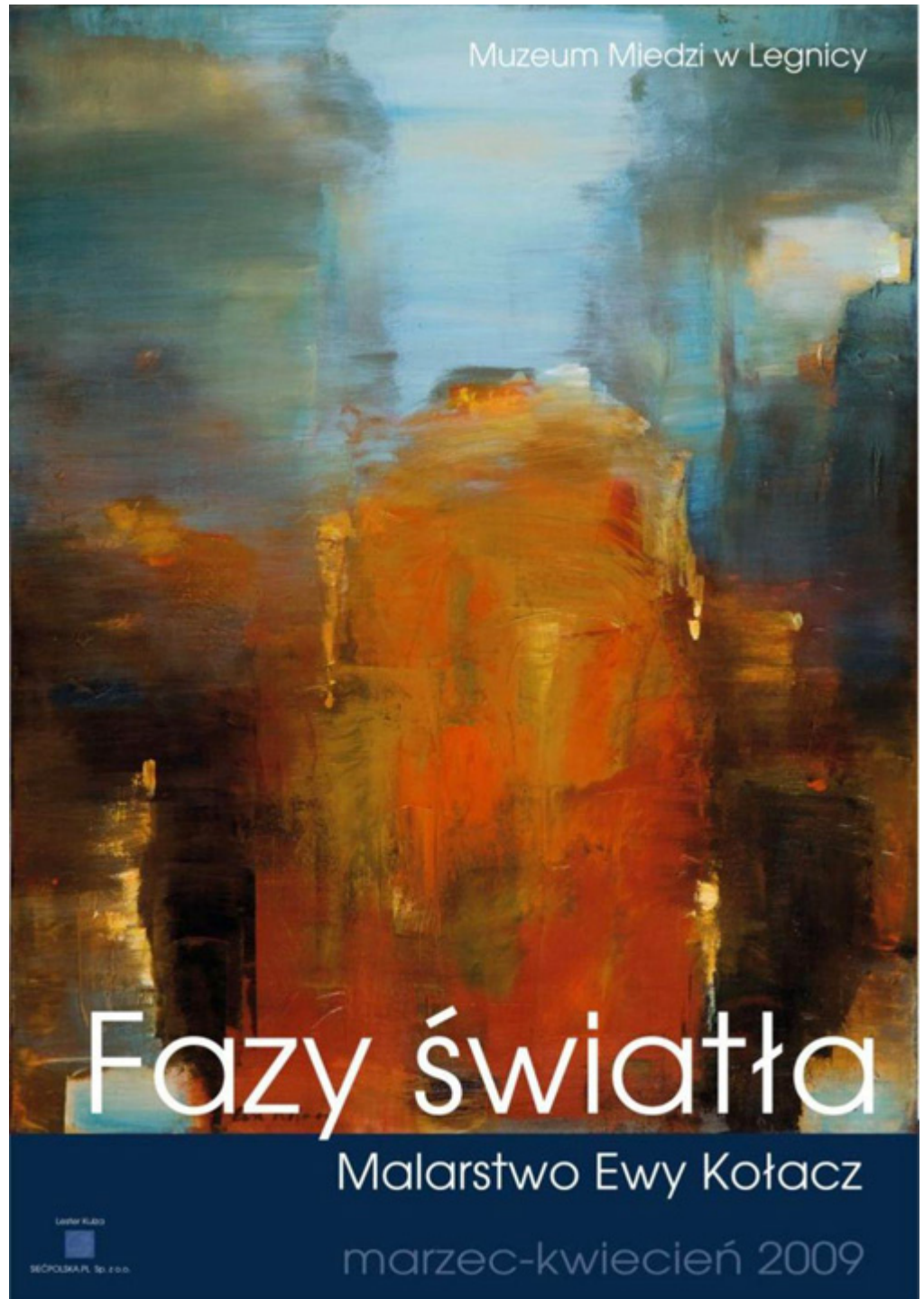
Obdarzona wrodzonym zmysłem abstrakcyjnego procesu twórczego, porównywalnym do angielskiego malarza Ivona Hitchens'a, Ewa Kołacz kieruje nas drogami, prowadzonymi przez pędzel. Ten podświadomy proces malowania jest podobny do filmu, ani nie jest nierozwinięty, ani mechaniczny. W przeciwieństwie do malarza techniki automatycznej, Ewa Kołacz podąża za przemyślaną wizualną formą faktur, niczym myśliciel rozkoszujący się malarskością chwili. Teatralność momentu powołuje do życia rzeczywistość wynikłą z procesu twórczego. Jest to podświadomy proces, który kwestionuje własne doświadczenia i metodę pracy. W ten sposób Ewa Kołacz rozwija swój język malarski, wychodząc poza dogmaty modernistyczne, które charakteryzują się stylistyczną zuchwałością, ograniczając swobodę artysty, podążając za maksymami, dyktatami i paradygmatami epoki. Ewa Kołacz ma wycucie momentu i jego aparycji. Odnajduje formę w procesie malowania. Te formy wyrażają kruchość i ciągłość zmian, w którym bierzemy udział przez chwile. Obcowanie z jej obrazami równa się zagłębieniu w spokojną przestrzeń pełnej syntetyzującej i wibrującej głębi, pól atmosferycznych skąpanych w świetle, (...)

Ewa Kołacz prezentuje wszechświat jako proces, a malarstwo

jako nieustająco przekształcający się świat, który będąc stałym, jednocześnie się przeobraża. (...) Malarstwo Ewy Kołacz powstało z wielkiej pasji. Jak sama artystka mówi: „Kiedy masz pasję, nie zastanawiasz się, w jaki sposób inni odbierają twoje malarstwo”.



Ewa Kołacz



Wciąż są we mnie

brzegi

cichego lata

i złote drgania

wody

owinięte wokół stóp

wszystko

zapisane

momenty

płyną

spokojną strugą

między jednym dniem

a drugim

nocą a nocą

nie dotykać się

w obawie

że sen ten się skończy



Ewa Kołacz

Wciąż są

we mnie sny

o niebieskich powiekach

i żdźbła trawy

w nich

które rodzą chwile

to tu

zanurzam się cała

bo w śnie

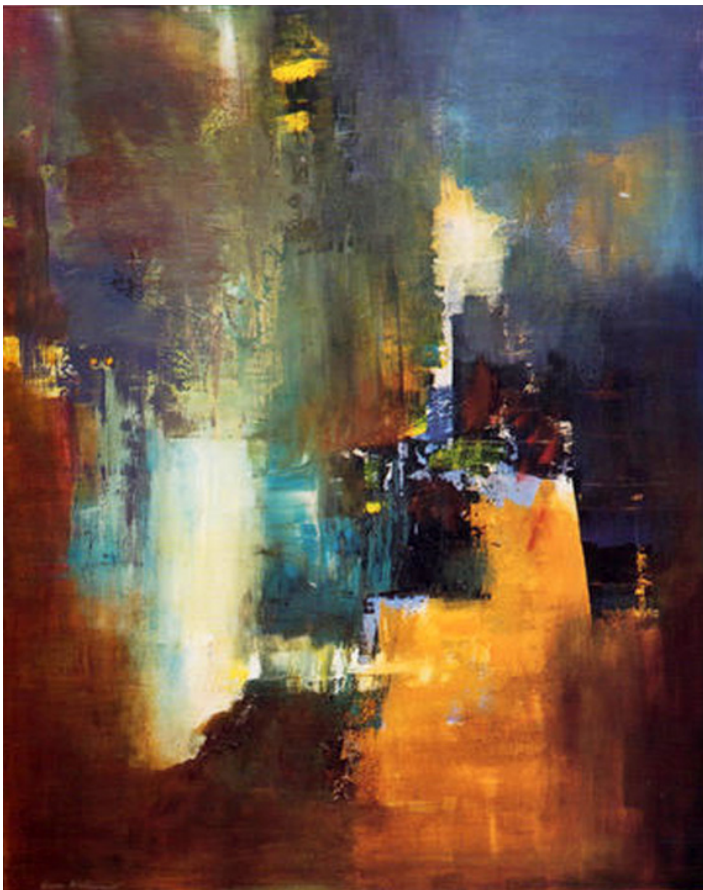
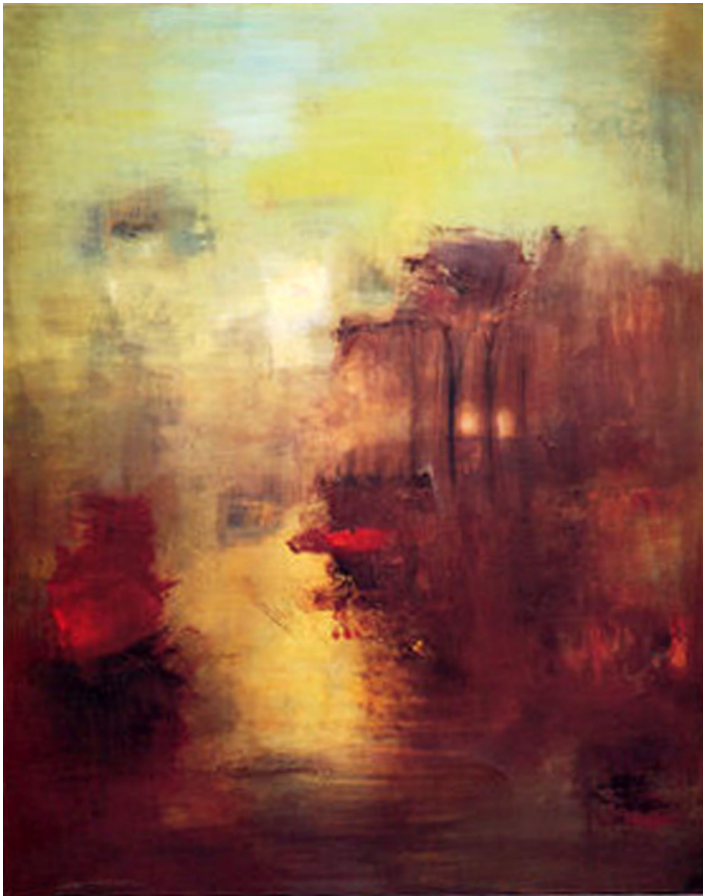
prócz lęków

nie ma

prawdziwego bólu

Prace Ewy Kołacz z albumu „Fazy światła”











Klarnecista

z Auschwitz. Wojciech Gniatczyński (1924-1985).

Florian Śmieja



Wojciech Gniatczyński na
zawodach lekkoatletycznych na
Uniwersytecie w Cork.

Wojtka poznałem jesienią 1947 roku na studiach w Irlandii Południowej. Mieszkaliśmy w tej samej bursie, razem uczęszczaliśmy na wykłady, bywaliśmy w tych samych lokalach. Swoim uśmiechem i ujmującą nieśmiałością ten wysoki i

przystojny szatyn potrafił oczarować każdego. Widzę go jako człowieka schorowanego po przeżyciu obozu w Auschwitz i Dachau. To te ciężkie doświadczenia, pewny jestem, spowodowały także opory i wahania, które hamowały i ograniczyły jego twórczość literacką.

Już w irlandzkim mieście Cork wybijał się wśród kolegów wszechstronnym czytaniem i pięknym, precyzyjnym językiem. Kochał muzykę i malarstwo. Pisał i przekładał z angielskiego i nie spieszył się z drukowaniem. Czekał na przychylniejsze czasy, które długo nie nadchodziły. Najpierw przeszkodę stanowiły niepewne warunki materialne, potem, niemożność opanowania choroby. Może nauczony cierpliwości, potrzebował większego dystansu do pisanych tekstów? Wiele lat później w ostatnim liście z Monachium w roku 1982 donosił, że lekarze wreszcie postawili właściwą diagnozę jego uciążliwej choroby płuc. Ufał, że wyzdrowieje, przejdzie na wcześniejszą emeryturę i będzie mógł w końcu swobodnie pisać i wydawać.

Będąc, jak zwykł był mówić, jednym z tych niepraktycznych młodych, którzy na obczyźnie poszli na studia humanistyczne, borykał się potem w Londynie z trudnościami nie mogąc znaleźć zatrudnienia. Od pracy fizycznej uchroniło go wydawnictwo Veritas, w którego pismach „Życie” i „Gazeta Niedzielną” pojawiły się pierwsze utwory Gniatczyńskiego w postaci artykułów publicystycznych, krytycznych i wierszy. Dzięki

animatorowi emigracyjnych debiutów w Londynie, poecie i poloniście Józefowi Bujnowskiemu, w 1954 roku ukazał się tom poezji Gniatczyńskiego „Próby” (Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn), dziś prawie nieznany, bo nakład był niewielki, a autor nie zatroszczył się, by go szerzej rozprowadzić.

Te pierwsze wiersze pisane były we Włoszech, Irlandii i Londynie. Objawiają one poetę dyskretnego, delikatnego, nie celebrującego swojego dokonania. Charakteryzuje je melancholia i zaduma nad złożonością świata i ludzi. Gniatczyński już wtedy rozróżniał „Dym, znak życia. Dymiący komin to znaczy ciepło, kobieta przy piecu.” Ale znał również dym inny „Dym śmierdzący, żółty – z krematorium”. Poznał też i starał się wyrazić miłosną udrękę, mocował się z istotą Londynu, w którym usiłował się zadomowić. Wraz z Olgą Żeromską i Januszem Jasieńczykiem (Poray-Biernackim) mieszkał we wspólnym mieszkaniu-pracowni, zwanej kahałem.

Z sympatią przyglądał się wykluwaniu się pism młodych w latach pięćdziesiątych w Londynie. Nieco później w swoim liście z Monachium wspominał:

...na pewno pamiętasz jakieśmy w Veritasie łamali pierwsze numery „Życia Akademickiego” – a ostatecznie to był praszczur obecnych „Kontynentów”. Pamiętam też, że sobie

wtedy z trudem zapracowane 10 s. (szyligów - FS) odmówiłem, żeby kupić „dożywotnią” prenumeratę - hej, łąza się w oku kręci!

Z wysokości swego doświadczenia dodał wtedy rzeczowo:

Jedna sprawa która jest w moim przekonaniu najistotniejsza. Jakiegolwiek pismo literackie musi mieć pewien po prostu czysto zewnętrzny rozmiar. „Kontynenty” są za małe - cóż tam się zmieści? I dlatego wydaje mi się, że bez subsydium pismo nie może ujechać. Zresztą chełpienie się, że „my bez subsydium” jest zupełnie dziecinne. Dzisiaj nie ma na całym świecie ani jednego pisma literackiego bez subsydium. Może jedno „Wiadomości”, ale Grydzewski też na pewno skądś dostaje pieniądze, tylko ta sprawa nigdy jeszcze nie wypłynęła - *as far as I know*. Ostatecznie instytucje i ludzie z pieniędzmi po to są, żeby je wydawać na rozsądne cele. I tak było zawsze, zawsze sztuka etc. musiały mieć swoich mecenasów. Słowem jest to sprawa, nad którą powinieneś się poważnie zastanowić.

Kiedy zaofiarowano mu pracę w radiu, musiał opuścić literackie środowisko Londynu, lecz również w Monachium wśród kolegów w pracy znalazł kongenialnych ludzi i ciekawych pisarzy jak

Tadeusz Nowakowski czy Czesław Straszewicz. Gniatczyński nie był pisarzem płodnym. Pisał szkice krytyczne, przekładał bez pośpiechu. Pamiętam, że dokonał przekładu sztuki irlandzkiego dramaturga J.M. Synge'a, tłumaczył Tomasza Moore'a, Shelleya, Eliota, Conrada. Wiersze drukował rzadko, najchętniej w „Wiadomościach”, dlatego ubolewał, kiedy przestały w 1981 roku wychodzić.

Choć wyjechał z Anglii nadal życzliwie obserwował losy pism, z którymi współpracowałem. Nie znaczy to, by przyjmował wszystko za dobrą monetę. Znajdując się w samym środku walki ideologicznej i dysponując bogatą znajomością spraw obozu komunistycznego, wytykał w swoich listach naszą ślepotę i pochopne sądy. Nawiązując do obranej dla antologii naszej poezji metafory „ryby na piasku” napisał:

Zawsze natomiast zarzucałem „rybom na piasku”, że obojętnie płyną swoimi rzeczulkami, nie zważając na trzepotanie się w pobliżu innych rybek, złapanych w sieci przez totalistów. Czerniawski pisze, że Iwaniuk oskarża komunistów, a nie widzi niesprawiedliwości w Kanadzie. Przecież porównywanie jednego z drugim to wierutne głupstwo. No właśnie: to jest to czego nigdy nie rozumiałem.

Dla poezji Gniatczyński miał zawsze wysokie uznanie. Ideal

widział w poezji zwięzłej, używającej trafnego słowa, bez taniego nowatorstwa. W jej naturze spodziewał się wieloznaczności i niesprawdzalności w wyrażanej przez nią uczuciach. Nie łączył jej z intelektem, ale ze świadomością, a więc ze zjawiskiem niejasnym i zamazanym. Wedle niego poeta dobiera słowa do słów i nie należało go pytać o intencję, bo sam twórca bardzo szybko nie pamięta i nie rozpoznaje elementów autopsji i zmyślenia. Jego zdaniem, sam utwór sobie wystarcza i przedstawia sobą nową materię. Do wierszy politycznych podchodził z mniejszą konsekwencją. Raz ich nie uznawał twierdząc, że poezja jest zawsze „implicite” a nie „explicite”, ale kiedy indziej chwalił funkcję upolitycznionych wierszy jako siłę mobilizującą duże rzesze odbiorców.

Moim zdaniem – napisał kiedyś w liście – w poezji nie ma miejsca na słowa dziwne, na popisywanie się leksykonologiczne. Moim zdaniem, prawdziwa poezja to poezja najprostsza – ale nie tą kłamaną, rzekomą prostotą Kasprowicza, tylko prostotą Mickiewicza. Słowo „łzy” jest tak oklepane, że się od niego rzygać chce – ale przecie „Polwały się łzy me...” – to właśnie poezja.



Wojciech Gniatczyński, fot. arch.
Floriana Śmieji.

Tom „Wiersze dla Magdaleny” wydany po śmierci był drugą książką Gniatczyńskiego i nie obejmuje całej jego spuścizny poetyckiej. Nieomal wszystkie teksty, które zawiera, były wcześniej drukowane w czasopismach emigracyjnych, choć zebrane stały się łatwiej dostępne dla zainteresowanego czytelnika. Podzielone zostały na cykle: „Pejzaż z postaciami”,

„Dzieci”, „Wiersze krótkie”, „Czarne nagietki”, „Spostrzeżenia z morałem”. Towarzyszą im przekłady tak różnych poetów jak Janos Pilinszky, P.B. Shelley i Theodore Roethke.

Poeta mówi w nich o samotności, o znikomości rzeczy, o straconej miłości. Potrąca też strunę bolesną – do końca głęboko skrywane przed innymi przeżycia obozowe. Nie opowiadał o nich nigdy, ponoć dopiero na łożu śmierci wróciły w majakach. Być może Gniatczyński ocalił swe życie, bo grał na klawirze w obozowej orkiestrze.

W wierszach, w których tę tematykę porusza, nie mówi jednak o sobie, mówi o dzieciach. Przypomniawszy ich tragedię przyrównując ich los do zagłady ufnych dzieci, które przed wiekami wyruszyły na krucjatę, z której już nie miały powrócić. I zapamiętał, że przyroda pozostała obojętna na to, co się dokoła działo. Stanowiła tło zarówno dla sielanki, jak i dla masakry. Była tylko częścią okrutnego czasu. Poeta napisał:

A niebo było błękitne

jak cyklon w komorze gazowej.

Tylko ironia i paradoks mogły towarzyszyć mu w wycieczce w krainę niehumanitarnego zbrodniczego przemysłu zdeprawowanego człowieka:

Ciężka na świecie zima

polska.

Na grudzie zeschnięte

zielska.

Tylko w komorze gazowej

ciepło.

Tylko w sercu człowieka

piekło.

Lektura tej poezji, tak jak lektura każdego prawdziwego pisarza, zmusza do zastanowienia się nad wieloma pytaniami, które stawia (z pewnością nie są to wiersze tylko dla córeczki), każe też boleć nad losem całej twórczości Gniatczyńskiego, nie dokończonej i rozproszonej. I nie napisanej. Poeta, niewątpliwie

obdarzony talentem, nie zdołał napisać dzieł, których mogliśmy słuszenie się po nim spodziewać. Zabrakło mu okresu spokoju, by mógł wylać na papier to wszystko, co go przez lata nurtowało i powoli dojrzewało. Musimy natomiast zebrać teksty wydane i rozproszone po czasopismach czy pozostające w rękopisie. Zachowując pamięć uroczego człowieka, nie zapominajmy o skompletowaniu jego twórczości, której jedynie część posiadamy.